

Ks. ANDRZEJ SZOSTEK MIC (Lublin)

NIEKTÓRE ASPEKTY ETYCZNE POLSKIEJ TRANSFORMACJI

Z trzech co najmniej powodów uwagi poniższe na temat etycznych aspektów zachodzących w Polsce procesów traktuję raczej jako pytania i ostrożne sugestie, niż stanowcze tezy. Po pierwsze, brak jeszcze dystansu czasowego pomagającego odróżnić ważne i dalekosiężne przemiany od peryferyjnych, hałaśliwych ale przejściowych ich manifestacji. Po drugie, przemiany te — właśnie dlatego, że są głębsze — dotyczą wielu płaszczyzn życia społecznego: gospodarki, polityki, prawa etc., a trudno być specjalistą w każdej z tych dziedzin. Po trzecie wreszcie, *nemo iudex in causa sua*. Przecież ja sam podlegam przemianom, o których mam mówić: dobrym i złym, jak więc mogę trafnie je osądzić? Być może, trzeba nam zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz, kto dysponuje inną niż my skalą porównawczą, pozwalającą zobaczyć to, czego sami już nie widzimy. Nie zwalnia nas to oczywiście od stawiania samym sobie pytań dotyczących naszego kryzysu. To bowiem, że znaleźliśmy się na jakimś zakręcie (a takie jest pierwotne znaczenie greckiego słowa „kryzys”) nie ulega raczej wątpliwości. W procesie moralnego dojrzewania samo sformułowanie diagnozy wskazującej na sedno kryzysu ma przy tym już działanie terapeutyczne: stanowi pierwszy krok wychodzenia zeń. Już z tych więc względów warto sobie zadawać pytania o morale współczesnej polskiej transformacji. Są to jednak, powtórzmy, raczej pytanie niż odpowiedzi — nawet jeśli dla podkreślenia sensu i wagi pewnych niepokojów przybierać będą formę twierdzeń.

I jeszcze jedna uwaga wstępna: o etycznych aspektach przemian zachodzących w naszym kraju mówić można jedynie w nawiązaniu do wydarzeń z przełomu lat 70-tych i 80-tych, czyli z okresu powstania NSZZ „Solidarność”. By zaś te wydarzenia zrozumieć, trzeba je z kolei choćby skrótowo odnieść (ryzykując nieuniknione uproszczenia) do atmosfery moralnej, w jej wielorakim kontekście społecznym,

* Niniejszy artykuł jest tekstem odczytu, wygłoszonego 4 marca 1994 roku w Uniwersytecie Łódzkim podczas sesji naukowej na temat: *Polska transformacja: doświadczenia i perspektywy*.

całego okresu powojennego. Myślę bowiem, że w roku 1980 nastąpił dość niezwykle moralny przełom, który jednak — jak się okazało — potrafił lepiej wytrzymać polityczny ucisk lat osiemdziesiątych niż wykorzystać szansę zbudowania nowego, zdrowszego moralnie społeczeństwa, jaka zaistniała w roku 1989. Poniżej spróbuję skomentować i uzasadnić tę tezę. Zacznę od charakterystyki owego przełomu (§ 1), a następnie omówię losy zrodzonych w jego ramach idei w nowej polskiej rzeczywistości (§ 2). O perspektywach specjalnie mówić nie będę; niektóre z nich niejako same ukażą się w świetle wcześniejszych rozważań, ich rozwinięcie zaś i dopełnienie winno być, jak sądzę, owocem dyskusji.

PRZEŁOM „SOLIDARNOŚCI”

To, co stało się 31 sierpnia 1980 roku, zasługuje na uwagę i najwyższe uznanie, którego nie powinny przyćmić wydarzenia późniejsze. Co najmniej trzy powody skłaniają mnie do takiej opinii.

Proces odkłamania

Dla przybysza z zewnątrz hasło, jakie pojawiło się na ulicach naszych miast przed pamiętnymi wyborami 4 czerwca 1989 roku, mogło wydawać się nieco dziwne. Pisano bowiem: „Żeby POLSKA była POLSKĄ, 2 + 2 musi być z a w s z e cztery”. Myśmy jednak dobrze to hasło rozumieli. Wszyscy mieliśmy dosyć życia w notorycznym zakłamaniu: głosowania na tych, których nie chcieliśmy widzieć u władzy; przynależności do partii i do Kościoła równocześnie; ćwiczenia inteligencji w wyłapywaniu rzeczywistego sensu oficjalnych enuncjacji, nie tylko przedstawicieli władzy, ale i naszych własnych, gdy przyszło nam wypowiadać się publicznie. Stopniowo zaczynaliśmy się wstydzić tego, czym wcześniej niektórzy skłonni byli się chwalić: że Polak jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwony, w środku biały. Rzodkiewka im starsza, tym bardziej czerwienieje do środka — i stopniowo zaczynaliśmy to sobie uświadamiać. Dwadzieścia lat temu zasłużony rozgłos zdobył artykuł Leszka Kołakowskiego „Sprawa polska”, w którym wzywał on do życia w godności, to zaś polegać miało nie na „przetrwaniu” niesprzyjających czasów, a na życiu kulturą, na przeciwstawianiu się sowietyzacji (różnej od rusyfikacji) przez realne prowadzenie politycznych i kulturowych dysput, przez myślenie i mówienie tego samego — i tak samo — zarówno w prywatnej rozmowie, jak w publicznych wystąpieniach.

Podkreślam: ten proces odkłamania odbywał się stopniowo, nie nagle — i nie objął wszystkich sfer, o czym później. Ale od lat sześć-

dziesiątych stopniowo przybierał na sile. I nie należy jego znaczenia zredukować tylko do płaszczyzny politycznej. Kołakowski nie przypadkiem głosił hasło życia w godności. Ta sama godność pojawiła się — i to na pierwszym miejscu — w hasłach „Solidarności” jeszcze przed układem „okrągłego stołu”. Owszem, w życiu politycznym tendencja ta znalazła bardziej znaczący wyraz: członkowie opozycji zaczęli ujawniać swe personalia, ukonstytuował się KOR, zaczęto wydawanie systematycznej literatury podziemnej itp. Jest to zrozumiałe: wszelkie procesy społeczne w krajach rządzonych totalitarnie mają silny wydźwięk polityczny, ale proces ów nie ograniczał się do stosunkowo wąskiego grona profesjonalnych polityków. Szczególnie silnie dał on o sobie znać w ruchu „Solidarność”, który po raz pierwszy naprawdę mówił językiem robotników: wyrażał ich poglądy i żądania, był związkiem niezależnym — i pierwszym znakiem tej niezależności było to właśnie, że się tam mówiło prawdę, jawnie i dosłownie. Przypomnijmy też sobie, z jaką pasją odkłamywano historię, zwłaszcza najnowszą. Uczniowie w szkołach, gdzie prowadzono tzw. strajk czynny, rychło byli aż znużeni nieustannym powtarzaniem im tego, o czym przez długie lata nie wolno było nawet napomknąć.

Jeszcze dwa doświadczenia wzmocniły poczucie rangi prawdy i jej istotnego związku z godnością człowieka. Pierwszym była pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny w czerwcu 1979 roku. Tłumy ludzi w Warszawie, Krakowie i Częstochowie, z mieszaniną niedowierzania i uniesienia, wspólnie się modliły, cieszyły i słuchały słów prawdy. Nie oglądaliśmy się na władzę, która gdzieś się pochowała, nagle mała i nieważna, ale przeżywaliśmy niezwykłą wspólnotę i niezwykły smak życia w prawdzie. To było zaledwie kilka dni, ale pozostały one głęboko w pamięci.

Drugie doświadczenie było bolesne i miało miejsce w latach osiemdziesiątych. Mam na myśli więźniów politycznych, którym obiecywano wolność za podpis „lojalki”. Dramat wielu z tych, którzy podpisali, a potem rady sobie z sobą dać nie mogli, lądując niekiedy w zakładach psychiatrycznych, pokazuje per opposita, czym dla człowieka jest prawda i wierność prawdzie; jak złudna jest wolność jej kosztem uzyskana.

Przypominam tylko niektóre momenty i przykłady procesu odkłamywania życia społecznego. Nie chcę przedłużać tego wątku, ale jeżeli poświęcam mu stosunkowo wiele miejsca, to dlatego, że uważam go za wątek pierwszorzędnej wagi. Człowiek jest istotą racjonalną (nawet, gdy nie bardzo mu to w smak) i na tej płaszczyźnie relacji do prawdy, potwierdza lub podważa swą człowieczą tożsamość, godność, wolność. Pozostałe elementy wydarzenia, symbolizowanego przez „Solidarność”, ów proces odkłamywania zakładają i go niejako dookreślają.

Solidarność w walce o życie w prawdzie

Pamiętamy, jak to się w 1980 roku zaczęło: komunistyczne władze postanowiły zaspokoić żądania płacowe stoczniowców, a następnie rozprawić się z pracownikami gdańskiego MPK. „Solidarność” odnosiła się najpierw do tych, którzy w słusznej sprawie protestowali, byli jednak za słabi, by sami się bronić przed odwetem komunistycznych władz, kierujących się zasadą: „divide et impera”, znaną i stosowaną na długo przed powstaniem Imperium Romanum. Ale nie chodziło tylko o polityczny manewr, odbierający tej zasadzie skuteczność. Zrodzona w takim właśnie kontekście „Solidarność” wyrażała przekonanie, że każdy człowiek jest ważny, nikogo nie można zostawić bez osłony, ponieważ zgoda na krzywdę czynioną komukolwiek oznacza rezygnację ze sprawiedliwości i godności w ogóle; oznacza zwarcie szeregów w ramach jednej klasy społecznej, której nie obchodzi los członków innych klas. Tego próbowano nas przez dziesiątki lat uczyć i przeciwko temu kłamstwu wystąpiła „Solidarność”, gotowa stanąć w obronie każdego pokrzywdzonego człowieka dlatego, że jest człowiekiem i z tego tytułu zasługuje na solidarną pomoc.

Chcę być dobrze zrozumiany: nie zamierzam wmawiać wszystkim członkom NSZZ „Solidarność” takiej świadomości moralnej. Ale jest coś, co wyczuć można „pod skórą” zdarzeń i decyzji, tak że gdy ktoś ową podskórną zasadę sformułuje, to z radością akceptujemy ją jako wyrażającą to, o co nam w gruncie rzeczy chodzi. Otóż myślę, że w tym sensie można mówić o personalistycznej „obiektywnej wymowie” pierwszego odruchu solidarności, z którego zrodził się Związek i z którego zaczerpnął swą nazwę. Wymowy tej nie podważa okoliczność, że faktycznie członkowie „Solidarności” kierowali się różnymi motywami, nie rzadko szli za impulsem innych, byli w swych poglądach i postępowaniu niekonsekwentni itp. Nie podważa jej nawet wspomniana świadomość politycznej siły, jaką stanowi tak liczny i zgodnie walczący o swoje prawa związek zawodowy (Nb. impulsem wzmacniającym poczucie tej siły była niewątpliwie wspomniana pielgrzymka Jana Pawła II). „Solidarność” od początku konstituowała się na płaszczyźnie moralnej, a nie tylko i nie głównie politycznej.

Walka bez użycia przemocy

Pamiętam spotkanie z Jeanem Goss-Mayrem, francuskim liderem ruchu „non violence”, jakie miało miejsce w Lublinie bodaj w roku 1969. Polscy rozmówcy próbowali przekonać szlachetnego, ale nieco naiwnego gościa, że metody stosowane z powodzeniem na Zachodzie u nas są po prostu niemożliwe. W rok później gdańscy stoczniowcy pokazali, że

rację miał Francuz, a nie my. Z wielką determinacją i konsekwencją robotnicy podjęli protest, nie dając się wciągnąć w próbę sił — i Gomułka, który początkowo rozpowszechniał stereotypowe kłamstwa o chuliganach rozbijających sklepy, dość szybko i ostatecznie przegrał. Taki sam charakter miała walka w roku 1980, a także potem, w okresie stanu wojennego. Jest coś zdumiewającego w sile, jaką okazała wtedy cała „klasa robotnicza”, jak ją wówczas nazywano, w walce z rządzącą partią, która mieniła się być jej reprezentacją. Pojedyncze ekscesy, skwapliwie rozdmuchiwane przez środki masowego przekazu, nie mogą przesłonić faktu, że w skali społecznej polscy robotnicy nie dali się sprowokować do odpowiedzi przemocą na przemoc; nie pozwolili, by obustronna przemoc zaciemniła słusność ich żądań.

Wymagało to niemałego hartu ducha oraz poświęcenia — i robotnicy dali tego niejedyn wyraz. Wiemy, jaką plagą w Polsce jest pijaństwo, tymczasem strajkujący stoczniowcy, zmagający się z trudną do zniesienia bezczynnością, potrafili wytrzymać długie dni i tygodnie bez kropli alkoholu. Pamiętamy też, jak społeczeństwo przyjęło twarde warunki planu Balcerowicza; warunki, których dziesiątej nawet części nie przyjęłoby od komunistycznych władz.

Sądzę, że w tych kategoriach trzeba też rozpatrywać sprawę tzw. grubej kreski. Może nie chodziło w niej o pseudolaskawe „odpuszczenie win”, ani nawet nie tylko o to, by wykorzystać wszystkie siły społeczne do budowania Trzeciej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Chyba także o to, by dążenie do rozliczenia doznanych i dokonanych krzywd nie zmajoryzowało atmosfery politycznej; nie utrwaliło dawnych podziałów, tyle że z odwróconymi rolami. Walka „non violence” to walka o człowieka, a nie z człowiekiem, zmierzająca do przerwania nie kończącego się łańcucha wzajemnych urazów i odpląt. Wiemy, jak łatwo tej pięknej idei nadużyć. Z naciskiem chcę podkreślić, że nie znam intencji i motywacji poszczególnych głosicieli zasady „grubej kreski”, wywodzących się wszak z różnych kręgów politycznych, ani nie oceniam sposobu wprowadzenia jej w życie. Podnosi się przeciw tej decyzji także zastrzeżenia moralne, jakoby zwalniała ona z sądowej odpowiedzialności zbrodniarzy okresu „błędów i wypaczeń”. Nie sądzę, by o to w niej głównie chodziło, choć — być może — należało ją obwarować szeregiem aktów prawnych czyniących z jednej strony zadość elementarnemu poczuciu sprawiedliwości, z drugiej zaś — pozwalającym lepiej poznać stan państwa przechodzącego od komunistów w ręce nowych władz. Chodzi mi jednak o zasadniczą ideę, leżącą u podstaw „grubej kreski”: o odwołanie się do wspólnego dobra, któremu na imię „Polska”; dobra, które w tej niezwykłej dziejowej chwili rodziło się na nowo i mogło zjednoczyć wszystkich Polaków ponad wszystkim, co ich dzieli. Brzmi to nieco naiwnie,

ale w tej właśnie naiwnej idei odczytać można wysiłek wydobycia się ponad poziom politycznych gier, wyniszczających cały naród kłótni i podziałów. I w tym widzę moralny walor propozycji i decyzji podjętej przez rząd Tadeusza Mazowieckiego.

Jeśli napomknąłem o polityce „grubej kreski”, to tym bardziej przypomnieć należy koncepcję „okrągłego stołu”. Ale i tu nie zamierzam pytać, czy była to na ów czas najtrafniejsza „zagrywka” polityczna, czy i jak długo należało zachować literę tych porozumień itp. Istotne jest, że szukano dróg przeprowadzenia rewolucji bez przelewu krwi, szukano jej na drodze trudnych rozmów, w których — przynajmniej ze strony „Solidarności” — poczucie odpowiedzialności za wspólne dobro przeważało nad politycznymi animozjami. Rozmowy takie stanowią istotny element walki „non violence”, w której chodzi o stopniowe wywalczenie sprawiedliwości: jeśli to możliwe, w drodze rozmów, jeśli nie — poprzez naciski, ale nie sięgające pułapu niszczących obie strony (i samą sprawiedliwość) środków przemocy.

Trudno przecenić znaczenie tej walki, ogromnej ofiarności okazanej na początku budowania nowej Polski, a także umiejętności prowadzenia owocnego dialogu z politycznymi przeciwnikami: dialogu, w którym nieustępliwości w sprawach istotnych (prawdy, niezależności od władz państwowych, gwarancji bezpieczeństwa dla politycznie najbardziej zagrożonych), towarzyszyła elastyczność w szukaniu politycznej i ekonomicznej ugody. Polacy pokazali, jakimi sposobami chcą walczyć o nowy, sprawiedliwy ład społeczny i jak go budować. Zdawało się, że naród jest dobrze przygotowany do tego budowania. Moralnie dobrze przygotowany: zahartowany w walce, gotów żyć w prawdzie i jej bronić, gotów otoczyć solidarną opieką wszystkich, zwłaszcza najsłabszych, gotów wreszcie spierać się ze sobą w sposób godny: nie stosując przemocy, godząc się na ponoszenie koniecznych ofiar. Kiedy nagle, w tempie nas wszystkich zaskakującym, nastał nowy porządek polityczno-gospodarczy, któremu początek dała Polska, dość szybko przyszedł też czas rozczarowań. Tak oto dochodzimy do drugiego punktu rozważań.

ZAŁAMANIE ETOSU SOLIDARNOŚCI

Nie należy się spieszyć z surowymi osądami, pewne rzeczy były do przewidzenia, choć w euforii solidarnościowych zmaganiach nie myśleliśmy o nich wiele. Po pierwsze, okres przejścia do normalnej gospodarki okazał się znacznie dłuższy i bardziej uciążliwy, niż sądziliśmy i niż nam to obiecywano. Trudno nawet mieć pretensje do tych, którzy formułowali nieco nazbyt optymistyczne, jak się okazało, prognozy. Wchodzi-

liśmy na nowy teren, nie można było przewidzieć wszelkich komplikacji. Jednym z elementów nowej sytuacji (niech eksperci oceniają, jak dalece przez nią samą spowodowanym) jest recesja, która dotknęła kraje rozwinięte gospodarczo i do dziś ich nie opuszcza. Innym — bardzo szybki marsz tym samym szlakiem pozostałych krajów dawnego obozu państw socjalistycznych, co znacznie pomniejszyło i tak niezbyt chętną realną pomoc Zachodu.

Ponadto, nie od dziś wiadomo, że jesteśmy bardziej sprawni w opozycji niż w budowaniu. Z perspektywy polskich dziejów na przestrzeni ostatnich dwóch wieków, trudno się temu dziwić. Panowanie komunizmu utrwaliło jeszcze brak chęci i umiejętności aktywnego, a zarazem odpowiedzialnego uczestniczenia w życiu społecznym. Nakłada się na to jeszcze brak doświadczonej, a nie należącej do kręgów komunistów, elity politycznej.

Uwaga powyższa wiąże się z następną. Wszyscy mianowicie mówią o obciążającej nas postkomunistycznej mentalności, ale bardzo różnie to obciążenie się rozumie. Tymczasem kto wie, czy tu przede wszystkim nie trzeba szukać przyczyn kryzysu, jakiego doświadczamy; tym bardziej przykrego, że obnażył on nietrwałość lub cząstkowy charakter moralnych osiągnięć okresu „Solidarności”, o których wspominałem poprzednio i do których znów chciałbym nawiązać, rozszerzając je nieco.

Nieuczciwość

Znamienne, że charakteryzując przełom „Solidarności” nie wspominaliśmy w ogóle o uczciwości — tej zwykłej, wyrażającej się rzetelnością pracy, słownością w dotrzymywaniu umów, prawdomównością w prywatnych, nie zaś tylko wysoce politycznych rozmowach etc. Zaabsorbowani walką z komunistycznym totalitaryzmem nie zwracaliśmy zbytniej uwagi na to, jak głęboko w narodzie naszym zapuściła korzenie „zwykła”, codzienna nieuczciwość. Pamiętamy anegdotki na temat zdumiewającej zachodnich obcokrajowców, a dla nas „normalnej”, sytuacji przeciętnego Polaka, który więcej wydaje, niż zarabia — i tej formy zakłamania jakoś się zbytnio nie wstydzimy. Uważaliśmy komunistów za obcych panów, zarzucaliśmy im, że nas krzywdzą, dokradanie traktowaliśmy jako należne nam z tytułu sprawiedliwości „wyrównanie” — i oto dziś, gdy jesteśmy „na swoim”, okradamy wzajem siebie, na ogół bezkarnie i z pomysłowością, na którą nas gdzie indziej nie stać. Starsza pani, która wychodząc z autobusu jawnie oddaje swój skasowany bilet wchodzącemu pasażerowi, traktuje swój czyn jako tytuł do chwały, a nie zawstydzający akt kradzieży. Słyszałem o pewnym księdzu, który — jako dobry duszpasterz, zatroskany o swych wiernych — tłuma-

czył z ambony, jak ominąć nowe przepisy podatkowe (nb. niekiedy tak wysokie, jakby ich autorzy z góry liczyli się z oszustwem obywateli). Nie są to drobiazgi. Tak jak złe pijackie obyczaje czynią mało skuteczną walkę z alkoholizmem, tak też społeczna aprobata nieuczciwości, bezsensowne odróżnianie kradzieży prywatnej od publicznej, lekceważenie wszelkich przepisów — wszystko to są rafy, o które rozbija się niejedna słuszna skądinąd i szlachetna reformatorska inicjatywa. Trzeba oczywiście tworzyć taką prawno-ekonomiczną sytuację, by opłacało się być uczciwym, jest to jednak proces długi i musi mu towarzyszyć wysiłek odbudowy etosu pracy, zniszczony gruntownie w okresie panowania komunizmu.

Wiąże się z tym fałszywe, a nader rozpowszechnione kojarzenie kapitalizmu z brutalnym wyzyskiem, nie zaś z cnotami pracowitości i odpowiedzialności, które muszą towarzyszyć przedsiębiorczości, jeśli się chce myśleć o utworzeniu znanej i cenionej, a przez to dochodowej firmy. Taki wykrzywiony obraz kapitalizmu wkładano nam systematycznie w głowy — i obraz ten pozostał, owocując dziś między innymi całą gamą pomysłowych przestępstw gospodarczych, których koszty ponosi nie „państwo”, a my sami. Co więcej jednak: wielu Polaków tak sobie właśnie wyobraża kapitalistyczny Zachód i za takim Zachodem (za taką Europą) tęskni. Wiem, że łatwo tu o demagogię: głodny myśli o chlebie, Polska jako naród — i wielu indywidualnych Polaków — przeżywa dziś głód, nic dziwnego więc, że tak właśnie kojarzy się wielu „normalny” świat. Trudno jednak nie odnotować z niepokojem mentalności konsumistycznej, która dochodzi do głosu wręcz agresywnie — i to nie u najuboższej części społeczeństwa, lecz nade wszystko wśród „nowobogaczków”.

Ale bywa też, że do rangi cnoty podnosi się zabarwioną asekurancstwem bierność — i to także jest poważna postkomunistyczna pozostałość. Iluż to Polaków krytykuje kapitalizm i wszystkie nasze gabinety, począwszy od rządu T. Mazowieckiego, za to właśnie, że oddalają ich od wymarzonego przez nich „świętego spokoju”, w którym nie wymaga się od nich żadnej aktywności, nie obiecuje kokosów — ale też nie obarcza ryzykiem i pozwala żyć w stanie umiarkowanego niezadowolenia (o charakterze głównie ekonomicznym) z rządu, traktowanego świadomie i wygodnie jako „obcy”. E. Fromm określał taką postawę mianem ucieczki od wolności w świat biedniejszy i bierniejszy, ale spokojniejszy. W świat — dodajmy — nierealny (miejmy nadzieję!) w obecnym układzie politycznym i ekonomicznym. Opowiadano mi o Żydach z ZSRR, którym po przyjeździe do Izraela dawano sporą sumkę pieniędzy, by mogli rozruszać prywatny interes. Oni jednak stanowczo woleli zamiast

pieniędzy dostać skromną, ale bezpieczną posadkę. Jeśli więc przedstawiciele tego narodu udało się tak zsowietyzować, to cóż się dziwić, że i nas ta choroba dotknęła?

Brutalność

Ujawnia się ona zarówno we wspomnianych przestępstwach gospodarczych, jak i w walce politycznej, jak wreszcie w zachowaniu tzw. szarych obywateli. I znów: jest to jakby „lewa strona” toczących się od lat w naszym kraju zmagani. Któż z nas wracający z Zachodu nie doznał przykrego uczucia, że twarze Polek i Polaków są jakby twardsze, zmęczone, bardziej zamknięte w sobie i niezbyt przyjazne dla sąsiadów? Jest to oczywiście zrozumiałe, co nie znaczy jednak: pożądane. Czas walki podnosi rangę cnót „twardych”: odwagi, zdecydowania, zdolności organizacyjnych, skuteczności, natomiast pomniejsza znacznie cnót „miękkich”: dobroci, cierpliwości, ofiarności, przebaczenia. Tymczasem te ostatnie są nie mniej od pierwszych potrzebne w budowaniu normalnego świata, w którym chcemy spokojnie żyć, a nie wiecznie z czymś lub o coś walczyć. Jest rzeczą niepokojącą, że taki jednostronny model twardego człowieka sukcesu lansowany jest nie tylko w tanich filmach amerykańskich, ale w całym świecie kultury masowej, sporów i idoli politycznych nie wyłączając. Symptomatyczny jest nasz stosunek do Rumunów wystających na ulicach wszystkich bodaj większych polskich miast. Nie o to tylko chodzi, że mało im ofiar składamy (nie wiem ile; gdyby zupełnie nic, to by ich pewnie już dawno nie było). Raczej o to, że się ich losem poważnie nie zajmujemy i nie próbujemy przedsięwziąć kroków, które by ich sytuacji zaradziły. Podaję tylko jeden z wielu przykładów społecznej niewrażliwości. Nie bardzo mnie pociesza Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy; jest to znów akcja jednorazowa, a nie systematyczna, zorganizowana pomoc, tak rozwinięta w wielu krajach na Zachodzie, z której i my sami wiele skorzystaliśmy i nadal korzystamy.

Prywata i kłótnie

Wiąże się z wadami poprzednimi, ale szczególnie boleśnie obnaża słabość idei solidarności. Strajki trwają do dziś, dotyczą już jednak tylko podwyżek i zatrzymują się na interesach samych strajkujących. Wiem, że wielu grupom społecznym jest dziś bardzo ciężko; wiem też, że długa byłaby lista błędów i grzechów popełnionych przez kolejne ekipy rządowe. A jednak smutno, że tak niewiele zostało z etosu dawnej solidarności: etosu gotowości ujęcia się za najbardziej potrzebującymi;

etosu podejmowania niemałych wyrzeczeń, w duchu zaufania do władz, które ze swej strony obiecały liczyć się z kondycją społeczeństwa; wreszcie etosu umiejętnego prowadzenia rozmów, w których odróżnia się fundamentalne prawdy i prawa, od których odstąpić nie wolno, od spraw stanowiących przedmiot wzajemnych układów i kompromisów.

Osobny problem, który zasługiwałby na szersze potraktowanie, to wyobcowanie wobec własnego dziedzictwa kulturowego. Zaczęło się ono wiele dziesiątek lat temu, przełamane zostało wybuchem „Solidarności”, dziś znów daje o sobie znać. Wspominam o nim jednak, ponieważ swoisty „kompleks Polaka” daje o sobie znać przez pretensje i spory, u których podłoża leżą nierzadko tylko wąsko pojęte własne korzyści. Albo gramy rolę herosów, wywyższając się nad sąsiadów bliższych i dalszych i zgłaszając w stosunku do nich ekonomiczne pretensje, albo prześcigamy się w samokrytycyzmie, zżymając się na swych przodków, których uparte przyznawanie się do polskości utrudnia nam teraz ucieczkę w inny, jak sądzimy, lepszy świat.

I oto stało się to, czego nawet największy solidarnościowy pesymista nie przewidywał: w cztery lata po przygniatającym sukcesie wyborczym „Solidarności” (100% możliwych do zdobycia miejsc w Sejmie i 99% w Senacie) demokratyczne i wolne wybory wyniosły do władzy koalicję o postkomunistycznym rodowodzie — i to dysponującą większością, na jaką żaden tzw. solidarnościowy rząd nie mógł liczyć. Niech mi wybaczą sympatycy obecnej władzy; nie zamierzam jej tu krytykować, ani zwalczać. Wiem też, że już od dawna tak zwani polscy komuniści gromadzili w swych szeregach politycznych pragmatyków, a nie ideologów marksizmu-leninizmu. Chcę tylko podkreślić skalę porażki ruchu „Solidarności”, o którego szlachetnym dorobku wspominałem wcześniej. Nie będę odkrywczy, gdy powiem, że jednym z elementów, który o tej porażce zdecydował, jest odejście od ideałów „Solidarności”, jakie dokonało się w łonie polityków z niej się wywodzących. W szczególności: dość przygnębiająca niezdolność prowadzenia dialogu — już nie z komunistami lub postkomunistami, ale we własnym gronie — skutek czego doszło nie tylko do rozdrobnienia politycznego, ale i do wzajemnego podważenia autorytetu. Trudno powiedzieć, czy ostatnia porażka wyborcza pomoże dawnej „Solidarności” odnaleźć zdolność do prowadzenia pożytecznych rozmów, ale nie należy też zatrzymywać uwagi na politykach, którzy stanowią dość łatwy i ulubiony przedmiot społecznej krytyki. Politycy ujawniają jedynie rozbiecie i zamieszanie społeczne (choć czasem je jeszcze potęgują); zamieszanie, którego najgłębsze źródło skłonny jestem upatrywać w podważeniu tej zasady, która stanowiła fundament przełomu „Solidarności”: w poszanowaniu prawdy.

Wtórne samozakłamanie?

O prawdzie i stosunku do niej mówimy właściwie cały czas. Oszustwa polegają na okłamaniu oszukanego, brutalna walka polityczna posługuje się stale kłamstwem, poniżające kłótnie wynikają z odejścia od wspólnego szukania prawdy na rzecz dbałości o własne, wąsko pojęte interesy. Oto okazało się, że szukaliśmy prawdy wtedy, gdy władza kłamała i przez jej kłamstwa czuliśmy się poniżeni. Teraz jednak, gdy nikt nas do kłamstwa nie zmusza, a prawda okazuje się kłopotliwa, skłonni jesteśmy szybko zapomnieć o wczorajszych bojach i dramatach, a układ społeczny oprzeć na innych zasadach. Kłamiemy często, łatwo i bez żenady.

Otóż tak, jak dopominanie się o dostęp do prawdy, głoszenia jej bez przeszkód i kierowania się nią w życiu leżało u podstaw całego etosu „Solidarności”, tak z kolei zapomnienie o tym fundamencie nowego ładu politycznego, gospodarczego i prawnego oznacza zejście w niemożliwy chaos, w którym slogany o wolności i demokracji zasłaniają faktycznie prowadzoną grę sił reprezentujących poszczególne grupy społeczne i ich wąsko pojęte interesy. Plus vis quam ratio. Trudno nie odnieść takiego wrażenia, gdy obserwuje się dzisiejsze głosowanie parlamentarne, niektóre debaty toczone w środkach masowego przekazu, przesilenia strajkowe. Tak również postrzegam istotę sporu o prawną ochronę poczętych istot ludzkich.

Wiem, że to znów osobny temat i trudno wprost go tu w całej rozciągłości podejmować. Chcę jednak podkreślić, że odkładanie tej sprawy do czasu uporania się z problemami gospodarczymi, a także powoływanie się na skuteczność prawa jako na decydujący argument, oznacza odstępianie od postulatu najważniejszego: by porządek prawny odpowiadał prawdzie o człowieku, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o jego dobro podstawowe: o ochronę jego życia. Jeżeli mnie ktoś przekona, że dziecko w łonie matki to jeszcze nie człowiek, albo że godność ludzkiej osoby i przysługujące jej prawa (z prawem do życia na czele) zależne jest od stopnia rozwoju biologicznego i psychologicznego, to z ulgą nie miałabym odstąpić od dopominania się o prawa nienarodzonych; czemu miałoby mi zależeć na mnożeniu i tak nazbyt wielu sporów? Jak dotąd jednak nie mam podstaw, by z całą pewnością wykluczyć człowieczeństwo ludzkiego płodu, a tylko w takim przypadku mógłbym odstąpić od ochrony jego fundamentalnego prawa do życia. „Solidarność” umiała w swoim czasie odróżnić sprawy nadające się do politycznych rozmów od takich prawd, od których odstąpić nie wolno, jeśli rozmowy w ogóle mają mieć jeszcze sens. Jedną z takich prawd była solidarność z naj-słabszymi. Nie dziwi więc, że zjazd „Solidarności” opowiedział się bez

zastrzeżeń za prawną ochroną poczętych dzieci. Jeśli my dziś nie będziemy chcieli dokonać podobnych rozróżnień, jeśli z głosowania większości uczynimy argument sam w sobie wystarczający, to oznaczać to będzie definitywne odejście od tego, co stanowiło, jak sędzę, główne osiągnięcie złotego okresu „Solidarności”; to, które znalazło swój wyraz w dziwnym haśle: „2 + 2 musi być z a w s z e cztery”.

SELECTED ETHICAL ASPECTS OF THE POLISH TRANSFORMATION

S u m m a r y

The author is rather putting forward questions and suggestions than formulating ready-made theses. He thinks that for the extraordinary moral metamorphosis in Poland in the 1980s it was easier to withstand the political pressure of that period than to build a morally healthier (better) society after 1989. The author first explains the significance of the transformation, started by the first pilgrimage of John Paul II to his home country and connected with the Solidarity trade union, which was characterized by the process of eradicating duplicity from social life in order to live in truth. The respect for the truth conforms human identity, dignity and freedom. At that time many fought in concord for the life in truth without resorting to violence. Nobody was surprised that the Solidarity congress, with no objections, declared for the legal protection of the unborn babies since the need to express solidarity with the weakest was obvious. The breakup of the Solidarity ethos resulted in dishonesty in social life as well as in passivity, brutalization of interpersonal relationships, pursuit of private ends and dissension. The moral chaos emerged, where the principle of *plus ratio quam vis* was neglected.